

Identyfikował się w roli spowiednika bez reszty. Nazywaliśmy go czasem „duszolap”

Apostoł konfesjonału

W wieku 43 lat zmarł 5 grudnia ub.r. w Warszawie ks. Andrzej Buczel, jeden z założycieli Ruchu Rodzin Nazaretańskich (RRN). Był doktorem nauk humanistycznych z zakresu psychologii. Wykładał w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym, Prymasowskim Instytucie Życia Wewnętrznego i Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie. Był kierownikiem duchownym wielu kapłanów i licznych świeckich z całej Polski, a także z zagranicy. Z jego opieki duchowej korzystały osoby mieszkające w Niemczech, Holandii, Francji, Kanadzie, USA i Wielkiej Brytanii. Posługę kapłańską pełnił przez 19 lat. O jej rozmiarach może świadczyć fakt, że na pogrzebie obecnych

było ponad 250 kapłanów, w większości jego wychowanków oraz ok. 2000 świeckich.

Z MARLEGO kapłana wspomina ks. kan. Władysław Nowicki, proboszcz parafii pw. św. Franciszka z Asyżu, na warszawskim Okęciu. W parafii tej ks. Buczel był przed swoją śmiercią rezydentem.

– Był apostołem konfesjonału. Wyróżniał się tym, że łowił duszę przez konfesjonał.

– Andrzej był w parafii rezydentem od 1989 r. Główną jego misją była praca w warszawskim seminarium, gdzie wykładał psychologię. Jako rezydent odprawiał Mszę św., głosił homilie, spowiadał, natomiast nie katechizował, bo jest to zajęcie wikarego.

– Wszystko co robił starał się robić dokładnie, dogłębnie, miał duże poczucie odpowiedzialności za to, co sam podejmował, co zostało mu zlecone.

– Powierzyłem mu w parafii troskę o młodzież akademicką. Istniała u nas taka grupa już z poprzednich lat, liczyła około 20 osób. Grupa ta



rekrutowała się z zespołu muzycznego. Andrzej sam był organistą, znał się na muzyce, czasami grywał z zespołem.

– Miał charyzmat do pracy indywidualnej: konfesjonał, rozmowy duszpasterskie. To nie były działania spektakularne, ale ci, którzy go lepiej poznali uwielbiali go. Łowił dusze dla Chrystusa, nie dla siebie. Nie szukał własnych korzyści, był typem ojca duchownego, który wymaga miłością ojcowską.

– Dziwiłem się, że seminarium nigdy nie pomyślało o powołaniu go na ojca duchownego. Sam im to podpowiadałem. Byłaby to wielka korzyść dla seminarium. Nadawał się do tej pracy, takiego mocowania się z klerykami dla Chrystusa. Był ojcem duchownym kapłanów dekanatu ochockiego.

– Miał grono stałych penitentów. Przyjeżdżali z różnych stron Polski. Ilość spowiadanych osób nie była spektakularna, ale te spowiedzi trwały długo, miały charakter formacyjny. Czasem rozmawialiśmy nad strategią spowiedzi, pytań stawianych penitentowi. Andrzej miał

bardzo bogate doświadczenie, identyfikował się w roli spowiednika bez reszty. Nazywaliśmy go czasem „duszolap”.

– Te długie spowiedzi nie zawsze jednały mu naszą przychylność, bo gdy długo spowiadał jedną osobę, kolejka rozkładała się na innych kapłanów.

– Andrzej pomagał penitentowi znaleźć właściwą relację w stosunku do Boga. To było ważne w dzisiejszym czasie, gdy tak dużo jest osób zagubionych. On wydobywał wszystkie te opory, dostrzegał obawy i niejako zagospodarowywał je duchowo.

– Z rozmów jakie prowadziliśmy o spowiedzi wnoszę, że jego metodą nie było psychologizowanie, choć psychologia, którą wykładał, na pewno jakieś piętno na nich odcisnęła. Andrzej proponował radykalizm moralny. Potrafił nastawić penitenta do radykalnego działania w sprawie swojego życia, nawrócenia. Na pewno uwzględniał w tym typ psychologiczny osoby spowiadanej. Z typologii pisał pracę doktorską, znał się na tym i mógł od razu rozpoznać jakim typem psychologicznym jest dana osoba i w odpowiedni sposób z nią rozmawiać. Doprowadzał penitentów do identyfikacji z nauką moralną Kościoła. Poruszał sprawy trudne, bolesne, kontrowersyjne i potrafił przekonać do argumentacji Kościoła.

– Zarówno w konfesjonale, jak i w kontaktach z ludźmi cechowała go cierpliwość. Jego homilie były bardzo głębokie, trochę przerastały zdolności recepcyjne słuchaczy, ale kto się wsłuchał to na pewno coś otrzymał, zrozumiał. Mówił kameralnie, nie miał potężnego głosu. Parafianie czasem mówili, że głosił piękne kazania, ale nie było go słychać. Miał dobrą dykcję, starał się, aby słowa miały wartość same w sobie, można tu użyć określenia „plastyczność słowa”.

– Czasem się między nami iskry, ale im bardziej podnosiłem głos, tym bardziej on cichł, przyjmował wszystko na siebie. Andrzej potrafił to, był bardzo łagodny.

i spokojny. Jego postawa pobudzała mnie do refleksji i sam łagodniałem. Emanowała z niego wewnętrzna cisza, spokój. Miał taki dar.

– Byłem tylko zewnętrznym świadkiem tych spowiedzi. To był jakby seans. Wiem, że go to dużo kosztowało, wyczerpywało. Szybko się regenerował, ale chyba kumulował w sobie troski i cierpienia penitentów i chyba nie potrafił tego wentylować. Cały czas jakby żył z tym bagażem, swoim i swoich dzieci duchowych. Nie potrafił przejść obok nich obojętnie. Ludzie, którym służył korzystali z niego ale ich problemy zostawały w Andrzeju. Otwierał ich na Boga, oni się na nowo rodzili dla wiary, dla Chrystusa, ale jednocześnie swoje grzechy zostawiali w nim.

– Jego rodzice umarli na białaczkę. Być może odziedziczył jakieś skłonności do chorób nowotworowych i stąd ta śmierć na raka. Rodzice Andrzeja byli mocno po trzydziestce, gdy się pobrali. Był tak zwanym późnym dzieckiem. Być może dlatego miał taką delikatną konstrukcję fizyczną. Nie miał rodzeństwa.

– Po ludzku rzecz biorąc powodem śmierci mogło być intensywne życie i chyba brak umiejętności odpoczynku. Był tak zaabsorbowany i absorbowany, że nie miał czasu dla siebie. Spalał się.

– Cechowała go cierpliwość i pracowitość. Nie był spektakularnym naukowcem, raczej można mówić o benedyktyńskiej spokojnej pracy. Poznałem go na uczelni. Razem studiowaliśmy psychologię na wydziale filozofii chrześcijańskiej Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. On z marianinem ks. Zdzisławem Żywicą, który teraz jest w Rwandzie, mieli najlepsze wyniki w nauce. Nie był bardziej zdolny od nas, ale na pewno bardzo pracowity. Być może z jego dokładności, wręcz skrupulatności wynikał fakt, że pracę magisterską i doktorską bronił z rocznym poślizgiem.

– Bardzo kochał rodziców, szczególnie matkę.

Jej śmierć bardzo przeżył, ale w kategoriach eschatologicznych. Matka była ostatnim ogniwnem łączącym go ze światem naturalnym. Mimo, że był jedynakiem to wchodził w bliskie związki z ludźmi.

– Na terenie parafii opiekował się także kołem synodalnym, a założona przez niego parafialna grupa Ruchu Rodzin Nazaretańskich podjęła się kolportażu prasy i wydawnictw katolickich. Do dziś robią to bardzo sumiennie.

– Był dla mnie źródłem duszpasterskiej inspiracji. To z jego namowy wprowadziłem w parafii zwyczaj całodziennej adoracji Najświętszego Sakramentu w każdy piątek. Aby adoracja ta była stała ustanowiłem dyżury księży w konfesjonale. Andrzej też podjął się tych dyżurów. Zwyczaj ten trwa do dnia dzisiejszego. Andrzej potrafił zwrócić uwagę na samą istotę Boga.

– Nie było łatwo uzyskać przyjaźń Andrzeja. Miał grono swoich przyjaciół. Na przykład ks. Leszek Pliszka. Kiedyś na wyjeździe formacyjnym w Zakopanem upadł on w górach i doznał pęknięcia nerki. Andrzej zadzwonił do mnie i prosił o przedłużenie urlopu, ponieważ

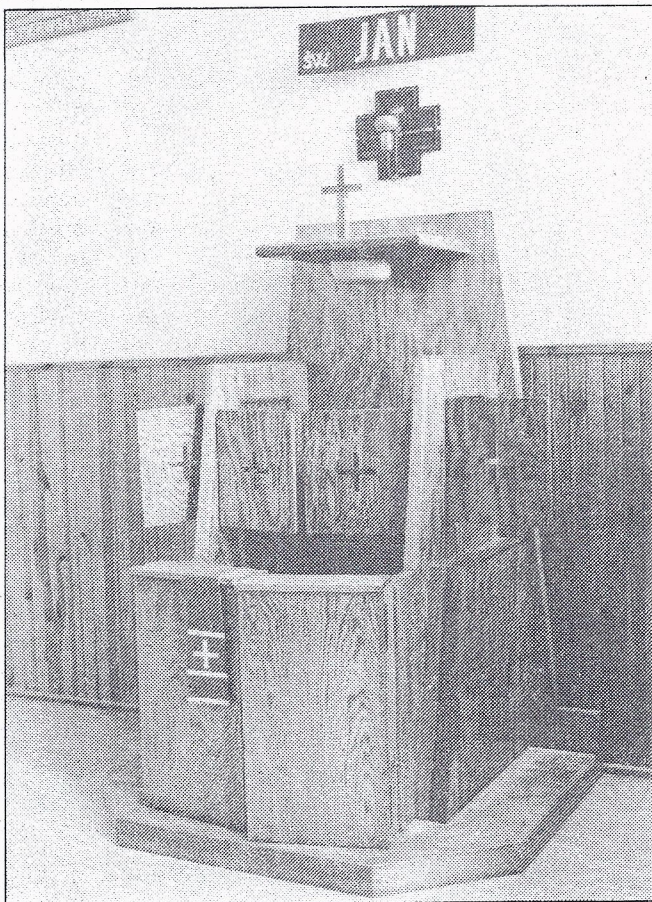
chciał pozostać przy chorym księdzu, który trafił do szpitala. Przy okazji tego wydarzenia uświadomiłem sobie inną cechę Andrzeja – empatię, czyli zdolność wczuwania się w położenie drugiego człowieka. Ta cecha pojawiała się przy różnych okazjach. Innym jego przyjacielem był ks. Bolesław Szewc. Jego uczynił wykonawcą swojego testamentu. Przyjaźnił się też z ks. Jarosławem Piłatem, szefem RRN. Na pewno ważną osobą dla Andrzeja był ks. Tadeusz Dajczer. Traktował go jak swojego kierownika duchowego. Był pod jego dużym wrażeniem. Być może sposób działania tego kapłana, niespektakularny, cichy, jego erudycja odpowiadały osobowości Andrzeja. Myślę, że nawet te cechy od ks. T. Dajczera przejął. Działanie w RRN, oprócz pracy w seminarium, było charyzmatem.

– Już po śmierci Andrzeja zobaczyłem kiedyś przy konfesjonale, przy którym zwykle spowiadał kłęczącego młodego człowieka. Rozpoznałem w nim osobę, która spowiadała się u Andrzeja. Co charakterystyczne nie ukląkł on z boku, przy kratkach konfesjonatu, ale z przodu.

Myślę, że to było spontaniczne. Długo tak trwał opierając głowę o konfesjonał, po czym wstał i ucałował wiszącą na nim stulę. Od razu skojarzyłem go z Andrzejem.

– Myślę z wielką atencją o Andrzeju, bo widzę pewne sprawy dopiero po jego śmierci. Wartość i stratę, jaką poniósł wraz z odejściem Andrzeja Kościół warszawski, parafia, RRN. Pozostawił lukę, którą z trudem będzie można wypełnić. Pytają o niego penitenci. Docierają do nas, ale wielu odchodzi, czując, że to jest nie to.

– Są kapłani, którzy przywiązują do siebie, Andrzej przywiązywał do Boga. Ludzie, którymi się opiekował, po otrząśnięciu się po jego śmierci, czynnie uczestniczą w życiu parafii, nadal wzrastają w wierze.



W tym konfesjonale spowiadał ks. Andrzej Buczel

OPRACOWAŁ
BOGUMIŁ ŁOZIŃSKI